

HENRYK WUJEC

ur. 1941; Podlesie k. Biłgoraja



Miejsce i czas wydarzeń	Warszawa, PRL
Słowa kluczowe	strajki w lipcu 1980; KSS KOR, Jacek Kuroń, "Robotnik"

"Robotnik"

W okresie strajków lipcowych 1980 roku wraz ze swoimi przyjaciółmi byłem członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Działaliśmy jawnie. Podawaliśmy nasze prywatne adresy zamieszkania, numery telefonów i nasz program, który polegał na obronie robotników i działaczy opozycji demokratycznej przed prześladowaniami i represjami ze strony władzy. Głównie zajmowałem się środowiskiem robotniczym. Wydawaliśmy dwutygodnik „Robotnik”, do którego sami zbieraliśmy materiały. Ostatecznie poszczególne numery redagowały głównie nasze żony i przyjaciółki: moja żona Ludka, Irena Wóycicka i Helena Łuczywo. „Robotnik” był drukowany przez Witolda Łuczywę, Darka Kupieckiego, Wojtka Onyszkiewicza, Andrzeja Zielińskiego i kolportowany w całej Polsce. Mówię o tym dlatego, że ma to ścisły związek z wydarzeniami lubelskimi.

„Robotnik” był podstawą sieci kontaktów w całym kraju, w tym ze środowiskiem lubelskim. Na przykład w Lublinie mieliśmy kontakt ze Spółdzielnią Inwalidów Niewidomych. Oni odbierali od nas „Robotnika”, znacznie przed strajkami lipcowymi. Wojtek Onyszkiewicz, którego wspominałem, miał kontakt z Wojtkiem Samolińskim i jego żoną Anną, mieszkającymi w Lublinie. Ja kontaktowałem się z Januszem Rożkiem, który był rolnikiem z okolic Milejowa, gdzie założył Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej. Jak wspominałem, moje nazwisko znajdowało się w stopce redakcyjnej pisma Robotnik. Przed drugą wojną światową w oficjalnej prasie było stanowisko nazywane „sitz redaktor”, który odpowiadał za każdy numer i w razie czego szedł siedzieć do aresztu. W pewnym sensie ci, którzy podpisywali „Robotnika”, byli „sitz redaktorami”. Redagowały nasze koleżanki, a my w razie czego, i zdarzało się to dość często, szliśmy siedzieć. Mój kontakt uzyskany za pomocą „Robotnika” okazał się najważniejszy. Za sprawą mojego adresu w „Robotniku” został nawiązany kontakt z dwoma ludźmi z Lokomotywni Lublin, Czesławem Niezgodą i Zdzisławem Szpakowskim. Nie pamiętam, czy pojawili się u mnie razem, czy każdy z nich oddzielnie. Niezależnie od nich zgłaszał się do mnie

człowiek ze Świdnika, który był trochę artystą malarzem. Niestety, nie pamiętam jego nazwiska. Dzięki niemu mieliśmy kontakt w Świdniku i WSK. Czesław Niezgoda miał wejścia w środowisku kolejarzy i poza nim. Zanim nastąpiły strajki w lipcu 1980 roku, mieliśmy kontakt ze środowiskiem robotniczym Lublina i Świdnika.

Generalnie nasze działania polegały na tym, żeby informować robotników o przysługujących im uprawnieniach. Jednym z naszych haseł było to, że pracownicy, robotnicy mają prawo organizować swoje własne, niezależne – jak to nazywaliśmy – wolne związki zawodowe. Mieli do tego prawo, bo władze PRL w 1957 roku podpisały konwencję dotyczącą wolności związkowej i ochrony praw związkowych Międzynarodowej Organizacji Pracy. Władze sądziły, że będzie to pozbawiony znaczenia kawałek papieru. Dokument ten nie był nikomu znany. Szperacze znaleźli go w dokumentach rządowych i myśmy to nagłośnili. Chociaż był to jawny, państwowy dokument, na rewizjach rekwirowali go tak samo, jak druki nielegalne. Dla nas liczyło się, że mieliśmy do tego prawo, że to była legalna działalność.

Strajki w lipcu zaczęły się dlatego, bo zostały podniesione ceny żywności w bufetach pracowniczych. Robotnicy zareagowali, wysuwając żądania podwyżki płac. W pierwszych dniach lipca był strajk w Ursusie, Tczewie i innych miastach. Akurat z Ursusem mieliśmy dobry kontakt za sprawą „Robotnika”, więc bardzo szybko informowaliśmy o tamtejszym strajkach i żądaniach robotników. Kolejne strajki zaczęły pojawiać się w różnych miejscach. To nie była jednak fala strajkowa, ale punkty strajkowe.

Zadanie „Robotnika”, działaczy i współpracowników KOR-u polegało na tym, żeby dotrzeć do każdego miejsca, gdzie trwał strajk. W tamtym czasie takich informacji nie podawali ani w telewizji, ani w prasie. Wręcz przeciwnie, one były skrywane. Świdnik stał się punktem strajkowym 8 lipca. Zastrajkował jako pierwszy na Lubelszczyźnie. Informacja o tym dotarła do nas. Skoro WSK – duży zakład – zastrajkowała, oznaczało to, że konieczna jest informacja o tym, co się tam dzieje. Strajk w Świdniku nabral rozgłosu. Okazało się, że po pierwsze protestuje cała załoga, po drugie, był to ważny dla PRL-u zakład o charakterze wojskowym. Dodatkowo, oprócz żądań płacowych, pojawił się, tak nam się wydawało, postulat jakby polityczny. Chodziło o to, żeby zasiłki rodzinne pracowników zrównać z zasiłkami rodzinnymi wojskowych, dużo wyższymi. Postulat ten nie miał wprawdzie formalnie charakteru politycznego, ale jego jądro było polityczne, bo funkcjonowała klasa uprzywilejowana, która dostawała specjalne płace, a zwykli pracownicy, nie. Pojawiło się również nazwisko liderki tego strajku, Zofii Bartkiewicz.

Postanowiliśmy, że trzeba tam pojechać, nawiązać kontakt i jak najwięcej się dowiedzieć, bo tylko dzięki bezpośredniemu kontaktowi można było wiernie opisać przebieg wydarzeń. Uważaliśmy, że nasze zasadnicze zadanie polegało na opisywaniu tego, co się działo. Po pierwsze, rzetelna informacja była ważna. My, KSS „KOR”, nie udawaliśmy, że potrafimy w razie czego obronić przed represjami, bo nie mieliśmy jeszcze takiej siły. Uważaliśmy wtedy, że informacja chroni, że lepiej

poinformować, niż nic nie powiedzieć, bo władza tej informacji się boi. „Robotnik” żył konkretem, nie ideologią, nie hasłami, tylko opisem tego, jak naprawdę było. Nam bardzo zależało na prawdzie, na wierności opisu. To wymagało wyjazdów i nawiązywania kontaktów. W ogóle, jak zaczęły się strajki lipcowe, Jacek Kuroń, członek KOR-u, jeden z naszych bohaterów, uruchomił takie centrum informacji, które zbierało i przekazywało wiadomości. W swoim mieszkaniu Kuroń robił konferencje prasowe dla dziennikarzy zagranicznych i informował, gdzie są strajki, jakie zgłoszono postulaty, jaki był przebieg protestu. Tym zachowaniem wymusił na władzach to, że musiały robić to samo. Rzecznik prasowy rządu [Włodzimierz Janiurek – red.] podczas konferencji prasowych musiał kombinować, oszukiwać. Wtedy dziennikarze mówili: „My idziemy do Jacka Kuronia, bo pan coś tutaj kręci”. Żeby Jacek Kuroń miał te informacje, to każdy z nas musiał jechać w miejsca, z których napływały sygnały o protestach. Trzeba było dotrzeć przed zakład o 6 rano, kiedy ludzie wchodzą, i czegoś się od nich dowiedzieć. Podobnie po południu, kiedy zakończyli pracę. Po drugie, publikując informacje o strajkach, pokazywaliśmy innym pewne wzorce postępowania: tworzy się komitet strajkowy, wysuwa się postulaty, rozpoczyna negocjacje. KSS „KOR” i „Robotnik” bardzo promowały taką drogę protestów. W 1956 roku w Poznaniu, w 1970 roku w Gdańsku, na Wybrzeżu i w Szczecinie był inny model strajku. Ludzie wychodzili na zewnątrz, szli pod komitet partyjny, gdzie próbowali negocjować. Kończyło się to podpaleniem siedziby i oczywiście masakrą robotników. Uważaliśmy, że to zła droga, że zakład jest twierdzą. Jeśli strajkuje się w zakładzie, to oni muszą przyjść i tam negocjować. Strajkujący mają silniejszą pozycję i nie ma sposobu na to, by rozbić ich siłą – lub znacznie trudniej to zrobić. Ten model był realizowany, począwszy od Ursusa, następnie w Świdniku. Nie wiem, czy nasze koncepcje prezentowane na łamach „Robotnika” wpłynęły na strajkujących, czy też kierowała nimi mądrość. W każdym razie były one realizowane i chcieliśmy to wszystko opisać.

Data i miejsce nagrania	2015-03-18, Warszawa
Rozmawiał/a	Łukasz Kijek
Transkrypcja	Jacek Bednarczyk
Redakcja	Łukasz Kijek, Krzysztof Gajowiak
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"